Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. No. 38. Leszno, dnia 19. Marca 1842.



Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa roku 1018.

Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa 1018 roku.

„Potrzebny był nader dla Bolesława ze strony niemieckiéj pokój“ — mówi Naruszewicz — „dla ułożonéj z Rusinami wojny, którą on tegoż roku w miesiącu Lipcu z całą państwa potęgą rozpoczął. Rozporządziwszy całe wojsko na pułki, ufce i chorągwie, a każdemu oddziałowi swoich rotmistrzów, setników, półsetników i dziesiętników do przywodu naznaczywszy, przełożył nad niemi hetmana Sieciecha, wojewodę krakowskiego, sam sobie nad nim i nad wszystkimi najwyższą władzę zostawując. Przydał do narodowych ludzi trzystu Niemców, danych sobie od cesarza traktatem budysyńskim, pięćset Węgrów i tysiąc Pieczyngów. Tak zaś to wojsko mądrze było sprawione, że bez trudności i zamieszania, nacierać, cofać się, wybaczać, dzielić się i znowu za danym znakiem zbierać się pod znaki, gdy potrzeba wyciągała, szykownie mogło. W tym porządku zbliżał się Bolesław do krajów ruskich. Twierdzą pisarze polscy, iż Jarosław ocaleniem przeszłoroczném Kijowa ubezpieczony, bawił się przy Dnieprze połowem ryb na wędę, gdy mu o ciągnieniu Bolesława wieść przyniesiono: i że porzuciwszy rybackie narzędzie, „dać pokój,“ powiedział, „rybie, aby nas nieprzyjaciel na inną wędę nie pobrał.“ Wreszcie udał się natychmiast do obrony, i zgromadziwszy potężne wojsko z Rusinów, Warachów i Słowian, zastąpił Bolesławowi przy rzece Bugu, chcąc mu bronić przeprawy. Poprzedziły przez kilka dni lekkie z obudwu stron harce, kamieńmi i strzałami, nim przyszło do walnéj rozprawy. Pierwszy król zaczął potyczkę, rozgniewany grubiańskiém szyderstwem niejakiegoś Bluda, poradnika książęcego, który stojąc na drugiéj stronie rzeki, z wojska polskiego i samego króla, nazywając go bojaźliwym i dla otyłości wieprzem, naigrawał się. Dany znak żołnierzom do bitwy; w któréj chwili całe wojsko zbrojne rzuciwszy się w rzekę, za powodem samego króla, który naprzód do wody wskoczył, na drugą stronę przeszło. Zatrwożeni przeprawą królewską Rusini, mieszać się i trwożyć zaczęli; pośpiech królewski nie dał im się uszykować, przyjęli jednak mężnie Polaków, że ledwie po kilku godzinach

krwawéj bitwy, zniszczeni prawie i starci, pełne martwych ciał bojowisko zostawili. Zabrano w niewolą wielką liczbę Rusinów i Warachów, obóz z całym plonem dostał się królowi. Sam Jarosław we czwornasób uciekłszy z placu, gdy ani w stołeczném mieście Kijowie bezpiecznym siebie być nie rozumiał, dla mogącéj nastąpić zdrady od swoich, a pościgu nieprzyjaciół, udał się z Kijowa do Nowogrodu.“

„Uwiadomiony król od szpiegów o jego ucieczce z zamku, postanowił dążyć do stolicy, opanowawszy pierwéj po drodze wiele miast i zamków, do których mu mieszkańcy wolny wstęp z podarunkami i poddaństwem dawali. Leży to przemożne niegdyś miasto nad Dnieprem, gdzie ten północnych rzek przywódzca, bliskim Desny przylewem pomnożony, ogromniejsze do morza czarnego prowadzi nurty. Zaszczyca one starożytność rywalstwem berła carogrodzkiego, dla bogactw, handlu i niezmiernéj liczby mieszkańców, z rodowitych ludzi i zbiegłego od Greków służalstwa, z którymi dotąd najnieprzyjaźniejszym sobie Pieczyngom mężny dawało odpór. Ludność jego okazywały liczne naówczas do czterechset cerkwi i ośm rynków obszernych, a ruska chełpliwość, dając mu na mil siedm objazdu, wiarę wielkością przechodzi. Założyli one, ile się zdaje, Chyonitowie Grecy, gdy jeszcze ze Scytami, od czasów przed Chrystusem niepamiętnych handel wiodąc, różne sobie od Dunaju aż do Dniepru osady mnożyli. Od nich mógł Kijów wziąść nazwisko; bo co powiadają ruscy pisarze, a po nich Długosz, że go Kij, niejakiś książę ruski, mało co przed Rurykiem żyjący, zbudował, z pomiarem czasów nie zgadza się. Pod to miasto podstąpiwszy Bolesław, opasał ono lądem i wodą, zabiegając, żeby z niskąd dowozu żywności nie miało, ile tak potrzebnéj w czasie nacisku różnego gminu, który z miejsc okolicznych i dalszych życia i majątków bezpieczeństwa szukał. Niechciał król psować tak pięknego wieków i narodów dzieła, spodziewając się, że go samym głodem dostanie. Uporczywa Kijowian obrona przynagliła go do szturmu. Pobito mury, popalono przedmieścia, a dobyte mocą miasto dało wstęp wolny zwycięzcy. Wjechał konno Bolesław, mając przed sobą świetne Polaków z dobytemi szablami ufce, a wjeżdżając w bramę złotą zwaną, ugodził w nią tęgo przypuszczonym pałaszem, który od owego ciosu dostawszy na ostrzu szczerby, szczerbca nazwisko odniósł. Chowa go potomność między skarbami królewskiemi w Krakowie, a biorącym znamiona najwyższéj w narodzie władzy, przy wyniesieniu na tron, do boku przypasuje. Gmin lekkowierny rozumiał, że go Bolesław z rąk anielskich dostał. Z bramy udał się Bolesław do monasteru ś. Zofii, gdzie go Arcybiskup Anastazy z całém duchowieństwem, świetnie w odzienia cerkiewne przybraném, przyjmował, niosąc krzyże i Świętych kości. W tym klasztorze pobrał król niezmierne skarby, z których jedne między żołnierzy i przyjaciół rozdał, drugie do Polski odesłał.

Pamiątki z Krakowa.

Morskie oko, w Karpatach.

Nic piękniejszego nad okolice Krakowa, nic rzewniejszego i więcéj sielskiego, nad okoliczne doliny, gaje i strumienie, nic bardziéj zajmującego, nad jego czarowne widoki! Wszakże to są słowa tych, którzy zwiedziwszy Włochy, Szwajcaryą i Tyrol, znowu wrócili nad Wisłę, aby wypocząć i odżyć rodzinném powietrzem. Może te słowa są skutkiem uprzedzenia dla téj ziemi, która była ich kolebką, i spodziewają się, że będzie dla nich i grobem. Podobnie za Napoleona z przywiezionych dwóch Lapończyków do Paryża — jeden umarł z tęschnoty, a drugi przeklinając Paryż z jego ogrodami, placami, gardząc winami i przysmaczkami francuskiemi, uciekł do swéj ojczyzny na łono śniegu i mrozu, a wychylając miarkę tranu, szkalował i Francyą i Francuzów, wychwalając swoje lasy sosnowe, odwieczne zaspy śniegu, i cudowny blask zorzy północnéj. A jakaż to jednak różnica między departamentem Saony (l'ile de Françe) a lodowatemi brzegami Laponii. Lecz Artysta powinien być wolnym od podobnych uprzedzeń, dla niego piękność jest bezwzględna. Krajobraz prawdziwie piękny, powinien być w jego oczach pięknym, bez względu, czyli to jest Tyrol, Polska lub Szwajcarya. Lecz można ich w téj mierze usprawiedliwić, albowiem do najpiękniejszych okolic Włoch, do dziko-pięknych obrazów Tyrolu, Szwajcaryi, do najgustowniejszych widoków Francyi, brakuje naszych niw nieprzejrzanych zboża każdego gatunku, tego bajecznego, a tutaj rzeczywistego rogu obfitości, które to niwy wdzierając się oceanem w najdziksze okolice, łagodzą swojemi złotemi falami i swoim czarującym szumem, zmięszanym z dziwną muzyką koników polnych i skowronków, posępność i dzikość tych ustroni, a małe chatki przyczepione do skał, lub na w pół zatopione w tém złotém morzu, budzą nieskończenie miłe uczucie dla serca i oka. Może być, że pendzel więcéj ma żywiołu w górach Szwajcaryi i Tyrolu, lecz oko, dusza, serce każdego, tutaj lgną i słodki znajdują pokarm. Tam dzikość wkrótce przerazi, i przesyci wędrownego Artystę, sztuka nakoniec znudzi, a w naszych okolicach stokrotne znajduje odmiany, wykrywając nieznane dotąd piękności, a zmęczone i zbłąkane oko wśród skał i ciemnych kniei, swobodnie i mięko wypocznie sobie w miedzy najbujniejszego łanu pszenicy, lub pachnącéj tatarki.

Lecz i nam nie braknie na olbrzymio-dzi-

kich pięknościach natury. — Jeżeli widziałeś doliny Ojcowa, Pieskowéj Skały, Grodziska, te śliczne miniatury Szwajcaryi, jeżeli zwiedziłeś Mnichów, Czernę, Dębnik, Bolechowice i Balice, widoki dość zbliżone do widoków włoskich, a w niektórych względach piękniejsze jeszcze, — wejdź na wzgórze Św. Bronisławy, i patrzaj na południe; od samego brzegu Wisły wzgórza piętrzą się w coraz większe góry, pomiędzy niemi Babia Góra, jak królowa bieleje najczęściéj śniegiem, lub kryje się w fioletowéj mgle, dźwigając na barkach ogromne bryły z rozbitéj chmury, a na samém widnokręgu będzie ci się zdawało, że ciężkie chmury ze srebrnemi krawędziami podnoszą się na czysty jeszcze i lazurowy horyzont, lecz to jest tylko złudzeniem, to jest łańcuch Karpat, to są Tatry!.... Zdjęty ciekawością chciałbyś tam na skrzydłach jastrzębia polecieć, i wypocząć sobie ze znoju, na szerokiéj i miękiéj zaspie śniegu.

Przed kilkadziesiąt laty nie potrzebowałeś, jak tylko uciąć sobie w bronisławskim gaju kij z leszczyny lub dębiny, przewieść się na rybackiéj łódce przez Wisłę, i prosto sobie dążyć przez góry i lasy, dumając i marząc, aż do samych Karpat. Lecz dzisiaj dość znaczne zachodzą trudności i przeszkody, albowiem Wisła jest granicą, a jegry pilnie strzegą drugiego brzegu, atoli opatrzywszy się paszportem, wymieniwszy tutejszą monetę na zdawkową monetę austryacką, możesz się bezpiecznie udać w podróż. (1)

Odbywałem już tę drogę, i przyznać muszę, że przebywszy most podgórski, i wyszedłszy na pierwsze wzgórze, niepodobna się było oprzeć od zwrócenia się ku Krakowowi, i pożegnania téj stolicy. Spuściłem się w dolinę, i miasto znikło, jakiś niepokój i cicha tęsknota opanowały moje serce, lecz późniéj z każdego wzgórza ukazywały mi się czerwone dachy, wieże, i zamek krakowski, ale coraz to bardziéj zdrobniałe, coraz bardziéj powleczone mgłą niebieskawą, jakby obszerną przezroczystą zasłoną. Nakoniec z wyniosłego wierzchołka jakiéjś góry, ukazało mi się w niebieskim tumanie mdlejące pasemko, jakby różnokolorowych kamyczków, a zjeżdżając na dół, gdy mój przewodnik powiedział mi, że to już ostatni raz widziałem Kraków, wtenczas, mówiąc bez przysady, przykro mi było i długo zdawało się, że mi czegoś brakuje.

Nakoniec przybyłem do samego podnóża Karpat, a nazajutrz udałem się w ich czarujące doliny. Częste i długie wycieczki dały mi poznać najwspanialsze widoki i najpiękniejsze ustronia. Opisywać je byłoby to rzeczą zatrudną, i nie jest moim celem; tyle jednak powiedzieć mogę, że będąc zupełnie w stanie dzikim i prawie bez jezior i porządnych wiosek, chociaż piękne i wzniosłe w swoim ogromie, wszędzie jednakże są monotonne, wszędzie dzikość i pustynia, bez żadnéj odmiany, bez żadnego złagodzenia. Ogrom skał, strumień i las, a gdzie nie gdzie mizerna buda Górala; są wiecznemi przedmiotami, stanowiącymi krajobraz. Alpy mają tę korzyść, że ich ogrom i dzikość łagodzi się, odmienia i dziwnie wzniośle kontrastuje z obszernemi jeziorami, na których białe rozwijają się żagle, jak równie z pięknemi i starożytnemi miastami, rozsianemi w licznych dolinach i ustępach gór; — tam widno dzieło ludzi, obok dzieł wielkiéj natury; tam widno miasto pełne życia i ruchu z zielonym wieńcem sadów i łąk, a nad niém biała lawina, jak blada i zimna śmierć, zawisła na pochyłości nagich skał; jest tam zbiór wprost sobie przeciwnych przedmiotów, a jednak tworzących harmonią i prawdziwie piękną całość. Jeszcze jedna okoliczność mocno mnie zastanowiła. Lud albowiem goralski powszechnie piękny, dorodny i przemyślny, nadzwyczaj mało pokazuje w sobie umysłowego życia, bardzo mało podań i pieśni, a prawie nic poezyi. Góral jest pracowity i pobożny, śpiewa litanie, wie odległości wioski od wioski, a zresztą wszystko dla niego jest obojętne, i nie budzi w nim żadnéj ciekawości. Dla czego Górale Szkocyi i Alp zachowali tyle podań, ballad, legend, — dla czego poezya zachwyca ich zapalne dusze i serca, — dla czego silny, wesoły i dowcipny Krakowiak nuci swoje krakowiaki, w których tyle poezyi, fantazyi i tęsknoty się znajduje? — Krakowiak jest ciekawy, cokolwiek chytry, zazwyczaj leniwy, lecz do hulanki, dziewczyny i bitki . . . . oddaj go Bogu!.. woli on karczmę niż kościół (2) woli śpiewać swoje krakowiaki, niż litanie i godzinki. Raz tylko można go oszukać, bo potém to już jego rzecz wywieść w pole. (3) Dla

(1) Odległość Karpat od Krakowa jest na mil 18; znaczne jednak przedgórza, jako to: Babia góra, Kocież, zaledwie są odległe na mil 10.

(2) Nie trzeba wnosić ztąd, ażeby lud krakowski był bezbożnym i rozwiozłym, jedynie w porównaniu z Góralem trzeźwym, pracowitym i nader pobożnym, Krakowiak może się słusznie nazywać birbantem i zawadjakiem. Lud krakowski jest pobożny, jak wszystkie ludy sławiańskie; a jeżeli więcéj odwiedza karczmę od kościoła, pochodzi to z jego charakteru i temperamentu żywego; jeżeli więcéj śpiewa krakowiaki, niż nabożne pieśni, to wypływa z téj przyczyny, że w tym pokoleniu tleje iskierka poezyi, o któréj oni sami nie wiedzą, lecz ją czują, i wynurzają w swoich krakowiakach smętnych, wesołych, lub nawet satyrycznych. Nie są rozwiązłymi, albowiem życie ich jest zupełnie sielskie; zwyczajnie leniwy, bo powszechnie obciążają go twardą pracą; a stał się chytrym, bo tego niekiedy wymaga jego położenie, wśród ucisku panów i oficyalistów. Lecz ni ciężka praca, ni ucisk, ni nędza, nie potrafiły w nim uśmierzyć jego zuchwałéj odwagi, żywości, wesołości, i téj iskry poezyi, która tak pięknie się rozwija rozdmuchana przez naszych wykształconych wieszczów i artystów muzycznych. Są oni podobnymi do owych tatarskich i arabskich koni, w których nędza, trud i droga nie są zdolnemi ugasić naturalnego ognia i życia.

(3) Przysłowie to: „wywieść w pole," jest prawdziwie narodowo-wojenne, albowiem Polacy walcząc



Widok Morskiego oka w Karpatach.

czego Kozak wśród stepów opowiada tyle powieści, nuci tak tęskne i zachwycające dumki? — Lecz odgadnienie tego zostawmy dla uczonych, a my udajmy się prosto w wyższą krainę Karpat, do górnych jezior.

Wyjechawszy z Kościelisk na Poronin i Bukowinę, szliśmy gęstym lasem, coraz wyżéj i wyżéj; zdawało się, jakoby ta droga prowadziła do chmur, które, płynąc nad nami, ocierały się na pozór o najwyżéj czerniące się sosny i jodły, — nareszcie las zaczął rzednieć, drzewa się zmniejszać, a kosodrewina być gęstszą i częściejszą. I otoż cel podróży, wychodząc z lasu stanęliśmy na wzniosłości skalistéj, u stóp naszych rozwijało się jezioro, obszerne, gładkie i czyste, w około skały prawdziwie olbrzymiéj wielkości i kształ-

---

zawsze w małéj garstce z potężnym nieprzyjacielem, uciekali się do stryja (lasu), zkąd szarpali i nadwątlali bezustannemi wycieczkami silnego nieprzyjaciela. Roztropnego wodza było rzeczą, nie dać się nieprzyjacielowi wywieść w pole, dopiero gdy armia nieprzyjacielska wycieńczona i znużona ciągłym niepokojem, zmniejszona i osłabiona częstemi i nagłemi napadami, przestała być tak groźną, wtenczas wódz polski wypadał z lasów, wydawał stanowczą bitwę, i odnosząc zwycięztwo, rozdzierał swój łup na placu bitwy. I przeciwnie, gdy lichy nieprzyjaciel krył się po lasach, każden niemal dowódzca polski umiał go sztuką i podejściem wywieść w pole. Podobnie „*zwinąć chorągiewkę*,“ ułani albowiem otoczeni zewsząd i ścigani, zwijali proporce u swoich pik, ażeby w mroku i w krzakach nie zdradzały ich płynące nad ich głowami, a we dnie zdala mogli łatwo złudzić oko nieprzyjaciela i uchodzić za oddział Kozaków. Niemniéj przysłowie dowodzące małéj zawsze ilości walczących Polaków i szczególniejszéj ich zręczności w bitwach jest: „*Sztuką wroga tłuką*“ i t. d. Zobacz Gołembiowskiego dawne przysłowia polskie.

tu, to są wierzchy Karpat, a to jezioro, to jest Morskie oko.

Na brzegu stoi chata dla podróżnych, w oddali chylący się krzyż i pomnik jakiegoś Taffe, któren nie ma żadnego związku, ani z miejscem, ani z historyą, a psuje cokolwiek illuzyą i urok zwiedzających te miejsca. Rozwieszone po skałach płachty śniegu, cichość grobowa, wiatr zimny i przenikający, i pisk mało znanych drobnych ptaszków, które się kryją w załamach skał, dziwne sprawują wrażenie na przychodniach.

Wszystko tu jest groźne, olbrzymie, i tajemnicze; te szczyty skał, gdzie ludzka nie postała noga, te wiecznie trwające kobierce śniegu, to jezioro bez dna, każą wierzyć, że to jest owa kraina bajecznych smoków, lub duchów, które rzadko zstępują w doliny, chyba zapowiadając jaką klęskę, lub straszliwe nieszczęście. Wsiedliśmy wszyscy na tratwę i odbiliśmy od brzegu; dwaj Górale, którzy za nami nieśli dwa kłęby cienkiego sznuru, związali je końcami, potém przywięzując do jednego końca ciężki okrągły kamień, puścili go w wodę. Chociaż rzeczony sznur długim był na 450 łokci, jednakże nie uderzył o dno, a Górale śmiejąc się mówili nam, że żadnym sznurem niepodobno dna namacać w tém zaklętém jeziorze.

Znajdują się tu małe rybki, lecz bardzo niesmaczne do jedzenia; woda, aczkolwiek zimna i czysta, ma w sobie jakąś goryczkowatość, podobnie, lecz nie w takim stopniu, jak woda morska. Górale powiadali nam o poczwornych rybach, które mają się często wypławiać na wierzch, o znajdowanych ułamkach statków i t. p., lecz wiary przywięzywać do tego niepodobna.

Powierzchnia Morskiego oka zajmuje 57 mórg, a samo jezioro położone jest w wysokości od powierzchni baltyckiego morza na 4,500 stóp. Zbliżając się do przeciwnego brzegu, posłyszeliśmy głuchy szum małego wodospadu, i spostrzegliśmy, że ze spadzistéj pochyłości skał mały potok lecąc po głazach, pieniąc się i tworząc tysiączne mniejsze wodospady, rzucał się do Morskiego oka. Byłto naturalny upust z Czarnego jeziora, które znajduje się wyżéj o 370 stóp od powierzchni Morskiego oka. Drapiąc się po téj skalistéj pochyłości, wzdłuż spadającego potoku, uczuliśmy wyczerpnięcie sił, i w połowie drogi wypoczęliśmy pod nizkim żelaznym krzyżem, wprawionym w kamień, na którym mogliśmy wyczytać napis: „Hic non plus ultra, nec supra. Nisi in cruce D. N. J. Chr.“

Niżéj napotykaliśmy jeszcze niektóre krzewy, jakoto: Pinus mugus, melezis, i t. p., lecz dochodząc do rzeczonego jeziora, sam już tylko mech (Lihen pulmonarium) okrywał niezmierne granity. Nareszcie przybyliśmy do Czarnego jeziora; widok tego ustronia przeraża i napełnia tęsknotą; posępne i dzikie to miejsce zdaje się być siedliskiem śmierci, zniszczenia, i huraganu; zdaje się, że tutaj zima zasypia podczas wiosny i lata; modre i ciche jezioro otoczone jest nagiemi skałami mieniących się granitów; po ścianach tych skał, równie jak na brzegach jeziora, bieleją porozciągane szerokie płachty śniegu; żadna roślina nie znajduje się tutaj, nawet mech rzadko pokrywa skaliste brzegi i ogromne głazy. Szczególniejszym jednak przypadkiem, nie daleko brzegu wyrosło kilka świerków; lecz jakże smutny przedstawiają widok te drzewa, niskie, suche, grube, odarte z kory, wyciągają pokrzywione ramiona ku wodom jeziora, i zdala wydają się jak skamieniałe od wieków szkielety. I tu słychać złowrogi pisk tych samych ptaszków, które słyszeliśmy wprzódy. Czarne jezioro jest mniejsze od Morskiego oka, lecz równie bez dna.

Jeszcze wyżéj znajdują się pięcio-stawy, lecz nie mieliśmy ochoty dostać się na ich powabne brzegi. Z ustępów skał dmuchał lekki wietrzyk, ale tak zimny jak oddech grobu, lub bardzo głębokiéj jaskini. Udając się w bok co raz wyżéj, o dzień prawie drogi, napotyka się jeszcze jezioro, leżące w najwyższéj strefie, a które przez cały prawie rok drzymie sobie pod grubą skorupą lodu. Nikt go nie zwiedza, oprócz Górala, co pasie bydło na najwyższych polanach, a wracając ztamtąd, mówi pastuchom, że był tam, gdzie się musieli urodzić mróz i zima.

Lecz słońce przeszło już połowę swéj drogi, pożegnaliśmy więc tajemnicze jeziora, i wracaliśmy znowu coraz to gęściejszym lasem. W miejscu nazwaném Roztok, wśród lasu, wypoczęliśmy z utrudzającéj drogi, a prawie już w nocy przybyliśmy do naszego mieszkania.

Zkąd mogły powstać te jeziora? zapytał się już nie jeden sam siebie. W Szwajcaryi znajdują się wprawdzie obszerne jeziora, lecz w najniższych dolinach, ale tutaj przeciwnie, bo na najwyższych górach. Nie mogą to być kratery wygasłych wulkanów, gdyż chociażby ich eksystencya była jak najdawniejsza, zostawiłyby po sobie ślady w grubych pokładach lawy, popiołów, i innych wulkanicznych produkcyj. Lecz Karpaty są góry pierwotnych formacyj, i nie tylko nie przedstawiają, ale i nie mogą przedstawiać żadnego śladu wulkanizmu. Smak wody Morskiego oka zbliżony do smaku morskiéj wody, czemu zapewne winno swoje nazwisko, jest mocno zastanawiającą okolicznością. Lecz w téj mierze i najbieglejsi geologowie nie zaspokoją naszéj ciekawości.

W kilka dni pożegnaliśmy Karpaty, których wierzchy i niższe nawet miejsca, bieliły się już spadłym śniegiem, chociaż Sierpień dopiero się kończył pięknemi pogodami. Przejeżdżając górzystą krainę Galicyi, zadawalnialiśmy się niewyczerpanemi w około widokami. Nareszcie z wierzchu mogilańskiéj góry zobaczyliśmy znowu Kraków tak drobny i mały, jak obrazek,

na wpół wytarty, a pod nim bieliła się srebrna wstążeczka Wisły, która ginęła w niebieskiéj mgle. Powitaliśmy go okrzykiem, wesoły humor rozjaśnił nasze czoła, a mnie się zdawało, że znalazłem dawno zgubioną rzecz, do któréj wielką przywięzywałem wagę. Przebyliśmy podgórski most, i wieczorem spoczęliśmy w domu.

Nazajutrz siedząc nad Wisłą, patrzaliśmy na południe, i widzieliśmy znowu karpackie szczyty, jak chmury ze srebrnemi szlakami, które zdawały się podnosić na horyzoncie. Lecz tą razą Wisła zdawała nam się więcéj piękną, i więcéj łudzącą do siebie, niż Morskie oko i Czarne jezioro.

W i s ł a.

(Fantazya.)

Ja sobie płynę z karpackich gór,
Co raz to niżéj w doliny;
A wodę piję z rozbitych chmur,
Lub z piersi białéj lawiny.

Piękne wybrzeża około mnie
Zielone gaje i niwy,
A wszystko marzy, jak gdyby w śnie,
Jakby kochanek szczęśliwy.

Wieczór, gdzie gajem porasta brzeg,
Kąpie się wciąż dziewic wianek,
Piękne jak kwiaty, białe jak śnieg,
Płoche, jak stado cyranek.

A młody rybak na piersi méj
Ślizga się łodzią, i w dali
Zapewne szuka zdobyczy swéj,
Bo plusk ucisza méj fali.

Rybaku! jeśli połów chcesz mieć,
Trzeba ponęty rozkoszy;
Z cicha zapuszczaj zdradliwą sieć,
Bo biała rybka się spłoszy.

Ale ostrożnie po nurtach płyń,
Patrz okiem wodnego ptaka,
Zdradliwy odmęt zdaleka miń,
Wiosłem zręcznego rybaka.

Bo moich nurtów tak zdradna toń,
Tak nęcą modre głębiny,
Jak ojców waszych rodzinna błoń,
Jak serce młodéj dziewczyny.

Tak i ja znęcę błyskotkę fal,
Rozkoszą piersi owionę
A potém próżny smutek i żal;
Jak zdobycz moję pochłonę.

Bo ja wypływam z karpackich gór,
Topiąc zielone doliny;
Wodę popijam z rozbitych chmur,
Lub z piersi białéj lawiny.

Dnia 10. Kwietnia 1841 r.

Rzadkie druki polskie.

Brevis Explicatio Doctrinae de Sanctissima Trinitate. M. D. LXV., bez miejsca druku. 8vo; kart nieliczbowanych 60. Dedykacya Zygmuntowi Augustowi, podpisana w Krakowie 1563 r. przez Franciszka Lizmanina, który jest autorem tego dziełka. Rzadką jest u nas biblioteka, któraby się poszczycić mogła choć jedném dziełkiem Lizmanina; rzadszym jescze, któremuby znane były okoliczności życia Lizmanina, a przecież był to człowiek, który w 16. wieku silnie na opinią publiczną u nas wpływał; który nawet, gdyby się nie dał był unieść zadaleko krewkości, mógł był los przyszłéj Polski zmienić. Nim przeto do opisu naszego kruka białego przystąpimy, powiemy wpierw słów kilka o jego autorze:

Między wielu Włochami, których królowa Bona do kraju naszego sprowadziła, znajdował się także Franciszek Lizmanin, rodem z Korfu, członek zakonu franciszkańskiego. O latach jego dziecinnych i wychowaniu nie zostawili nam współcześni najmniejszéj wiadomości. Do Polski przybył młodo (1546 r.) i jako spowiednik i kaznodzieja królowéj, został wnet prowincyałem swego zakonu w Polsce i komisarzem wszystkich klasztorów panieńskich téj samėj reguły. Znajomość z Andrzejem Trzecieskim, sławnym poetą łacińskim i rozsiewaczem nowości religijnych, w Krakowie zabrana, zachwiała w nim wiarę ojców. Przydała oliwy do ognia królowa Bona, podawszy mu jakąś książkę protestancką do czytania. Wkrótce potém częste przestawanie z Trzecieskim i innymi nowatorami, ściągnęło nań podejrzenie duchowieństwa, a Zebrzydowski, Biskup krakowski, dawał na każdy jego krok pilne oko, aby go zdybać na jakim czynie lub słowie, przeciwném religii katolickiéj, a następnie usunąć od ołtarza, a nadewszystko od boku królewskiego. Ale Lizmanin, z przyrodzenia swego przebiegły, tak się umiał dobrze maskować, że nietylko nie mógł być o herezyą publicznie posądzonym, ale nawet poczytywano Biskupowi za złe, że śmiał męża pobożnego o niestatek w wierze obwiniać. Wtém wstąpił na stolicę apostolską Juliusz III. Królowa Bona wysłała roku 1550. Lizmanina do Rzymu z powinszowaniem nowemu Papieżowi wstąpienia na tron. Nieomieszkał korzystać z téj sposobności Biskup krakowski i wysłał za Lizmaninem gońca z listem do Rzymu, donosząc Papieżowi, że Lizmanin był skrytym heretykiem i prosząc go, aby tak niebezpiecznego dla religii katolickiéj

człowieka uwięził i przeciął mu na zawsze powrót do Polski. List atoli Biskupi doszedł do Rzymu nieco za późno, albowiem Lizmanin już się wtenczas znajdował w Warszawie, (doznawszy uprzejmego od Papieża przyjęcia) przy boku królowéj Bony, która natenczas w tém mieście przebywała. Skoro Lizmanin do kraju powrócił, odbiera od króla Zygmunta Augusta list, w którym go monarcha prosi, aby gniew matki, z powodu małżeństwa z Barbarą Radziwiłłowną, łagodził. Lizmanin w interesie tym jeździł po trzykroć z Warszawy do Krakowa i tak zręcznością swoją króla zadowolnił, że mu August pierwsze wakujące biskupstwo obiecał. Kiedy Lizmanin takie widoki świetnéj przyszłości przed sobą ma, przybywa do Polski (1551 roku), Leliusz Socyn, zabiera z nim znajomość i radzi mu, aby wyjechał za granicę, mianowicie zaś do Szwajcaryi, aby tu zrzucił habit i przyjął otwarcie wyznanie protestanckie. Lizmanin, który znając dokładnie skłonność Zygmunta Augusta ku nowym opiniom, na coś większego godził, nie usłuchał téj rady, owszem namowami swemi nakłonił monarchę, aby go wysłał za granicę w celu nabrania potrzebnych wiadomości i informacyi od Kalwina i innych, jakby najlepiéj i najłatwiéj było Kościół katolicki w Polsce zreformować. Opatrzony od króla w pieniądze, zwiedził Lizmanin, pod pozorem zakupywania książek dla biblioteki królewskiéj, Włochy, Szwajcaryą, Genewę, Paryż, i wykonał wiernie i zręcznie dane sobie polecenie, ale przybywszy powtórnie do Genewy, za radą Kalwina i Socyna, zrzucił habit mniszy i ożenił się z ubogą dziewczyną. Nadaremnie odwodził go od tego kroku szkodliwego reformacyi w Polsce sekretarz jego Budziński, stawiając mu przed oczy, że najlepszy czyn nie w czas wykonany, jest częstokroć bezowocny, a nawet szkodliwy; że ożenienie jego do roku odłożone, znajdzie niechybnie wielu naśladowców pomiędzy duchowieństwem, wykonane zaś przed powrotem do Polski i zdaniem królowi sprawy z missyi, może się stać reformacyi w Polsce bardzo szkodliwem i zniechęcić monarchę. Przepowiedzenie Budzińskiego ziściło się. Król dowiedziawszy się o postępku Lizmanina w Genewie, rozgniewał się bardzo na niego, i postanowił porzucić odtąd zamiar reformowania kościoła polskiego, chociaż Kalwin, Lizmanin i inni nalegali nań o to w listach częstokroć do Polski pisywanych. Pomimo atoli zobojętnienia króla ku reformacyi, szerzyła ona się przecież z niezmierną szybkością po całym kraju. Zbywało jéj jednak na zręcznych i umiejętnych przywódzcach. Synod przeto różnowierców, w Pinczowie 1555 roku złożony, uchwalił, aby Lizmanina przyzwać do Polski. Przybył on wprawdzie roku 1556. do naszego kraju, ale wiedząc, że był od króla z Polski wywołany, a od duchowieństwa nienawidzony, nie pokazywał się na żadnéj publice, ukrywając się na dworach rozmaitych możnowładzców, reformacyi przychylnych, jakoto np. u Jana Tomickiego, kasztelana gnieźnieńskiego; u Górków, u Jakóba Ostroroga i t. d. Ztąd znosił się i naradzał z naczelnikami reformacyi w Polsce, jakby najlepiéj było papieztwo obalić. Tymczasem możnowładzcy wyrobili mu u króla pozwolenie wynurzenia się na jaw. Przybywszy do Krakowa, zapoznał się z Blandratą (około 1562 r.) i powziął od niego nowe wyobrażenie o Trójcy świętéj. Z tego powodu posądzony od Kalwinów o aryanizm, sprzykrzywszy sobie ustawiczne zatargi o ten artykuł wiary, z Stankorem, Goneziuszem i innymi, na synodach w Włodzisławiu, Książu i t. d., a nadewszystko niemogąc odzykać utraconéj łaski królewskiéj, opuścił Polskę, udając się do Królewca, gdzie na dworze Albrechta los swój poprawić zamyślał. Ale trafił z deszczu pod rynnę. W Królewcu bowiem, wśród zagorzałych zwolenników nauki Marcina Lutra, ostrzeżonych z Krakowa, co za niebezpieczny człowiek do nich się udaje, stał się wszystkim solą w oku. Napróżno w dziełku, którego tytuł wyżéj przytoczyliśmy, usiłował oddalić od siebie podejrzenie o aryanizm; nie wierzono mu, a teologowie luterscy przestrzegali swoich słuchaczów z ambon, aby tego wilka w owczéj skórze, jak jadowitego węża, jak ognia unikali. Opuszczony tedy od wszystkich, umarł w największéj nędzy około 1566 roku. Bayle naznacza mylnie rok jego zgonu 1563., widziałem bowiem książkę w r. 1565. z druku wyszłą, z własnoręcznym jego podpisem. Ten sam Bayle powiada, że Lizmanin nic prawie nie pisał, co także mylném jest twierdzeniem.

Powróćmy teraz do naszego dziełka. Lizmanin napisał je, aby oddalić od siebie podejrzenie, jakoby o Trójcy ś. tak sądził jak Aryusz i jego zwolennicy, a nadewszystko, aby zagniewanego na siebie Zygmunta Augusta przebłagać. W dedykacyi łasi mu się jak może: „Niemasz Najjaśniejszy Panie pomiędzy śmiertelnymi nikogo“ — mówi — „któremubym, po Bogu, tylu winien był, co W. Królewskiéj Mości. Dobrodziejstwa bowiem W. K. Mości dla mnie tak są wielkie, że gdzie się tylko obrócę, wszędzie łaskawości Twojéj Najjaśniejszy Panie nie zatarte widzę ślady. Kiedyżeś N. Panie nie opuścił sposobność wspierania mię, albo wyniesienia? i t. d.“ Daléj w téj saméj dedykacyi mówi Lizmanin, że jak dawniéj źli ludzie doniesieniem go swojém do Króla, zniewolili do złożenia w ręce Króla wyznania wiary, tak teraz oczernili go znowu, jakoby o Trójcy ś. nauki przewrotnéj się trzymał. Z tego powodu zdanie swoje o tym artykule wiary, spisane obok nauki ojców kościoła, przeséła Królowi i błaga go, aby przeczytawszy, już daléj potwarcom jego ucha nie dawał, a jego same-

go do dawnéj łaski przypuścił. Całe tedy to niezmiernie rzadkie dziełko jest zbiorem różnych zdań o Trójcy ś., za którémi Lizmanin poszedł. Rzecz uwagi godna, że Lizmanin przywiódł w dziełku świadectwo najzaciętszych Antytrynitarzy, np. Krowickiego, Tomasza Falkoniusza, Jana Kazanowskiego i t. d., jakoby o Trójcy świętéj trzymał się nauki, niezbaczającéj od dogmatów innych wyznań chrześciańskich.

Kilka słów o świątyniach i domach mieszkalnych u Sławian.

O żadnym rodzaju budowy starożytnych nie możemy z taką mówić pewnością, jak o świątyniach; tych bowiem tyle gruzów i szczątków pozostało, ile ich wszystkie inne rodzaje razem wzięte, dostarczyć nam nie mogą. Pewnem jest, że budownictwo świątyń doświadczało kolei podobnych, jak wszystkie inne ludzkie wynalazki. Natura powszechna wlała w dusze człowieka tak żywe wyższéj istności uczucie, iż każdy naród stanowił sobie pewne bogochwalstwa obrzędy, dla okazania winnéj czci Twórcy, którego wielkość zdawała się wymagać miejsc szczególnych sobie poświęconych; a te, świętą wrażały groźność, i odpowiadały wyobraźniom każdego narodu o czci Wszechmocnego. Wzgórza i lasy były zwykle miejscem poświęconém ku czci bożków: u dawnych Prusaków bożek *Patelo* w lesie miał przybytek, w okolicy dzisiejszego Bartensteinu: wśród gęstego lasu był dąb ogromny z trzema wyrębniami, w których potrójny posąg Patela był umieszczony; do koła drzewa były opony, tylko dla nabożnych przychodniów odsłaniane, przed zasłoną palił się wieczysty ogień z drew dębowych, od samego Kirwajła, lub téż od niższych Kapłanów, Wajdelotami zwanych, utrzymywany.

Prosty sposób budowania Sławian, może nie zajmie cudzoziemskich sztukmistrzów, lube jednak sprawi uczucie w ciekawym wiedzy rodaku. Krótkość niniejszego pisma nie pozwala nam obszernie w tym względzie mówić, krótko więc tylko namienimy, odsełając z resztą naszych czytelników do Helmoda, Dytmara Saxona, grammatyka, Adama Bremeńczyka, i obu bezimiennych autorów życia świętego Ottona. Świątynie nazywali Sławianie *goncianami*, ponieważ będąc po większéj części drewniane, nie tylko dachy, ale i ściany gontami miały pobite, co i teraz w niektórych starych drewnianych kościołach napotykamy. Miasto Arkona, stolica wyspy Rugi, i Reda, główne miasto starożytnych Wendów, były tém dla wszystkich Sławian, czém dla Mahometanów Mekka. Liczne karawany sławiańskie od kończyn Europy i Azyi tam się gromadziły z bogatemi dary. W Arkonie była murowana świątynia czworo-oblicznego Swantowida, którą Waldemar, król duński, około roku 350 ery chrześciańskiéj, dobywszy tego miasta, złupił i zburzył. Ta świątynia miała czworo wnijścia, ku zachodowi, wschodowi, północy i południu zwrócone. Tę budowę składały cztery wielkie przedziały, pod osobnemi krytami; z tych trzy zawierały składy łupów, ślubów, znaków zwycięzkich, podarków i ofiarnych naczyń, czwarta zaś była stajnią białego konia, mianowanego świętym. Węgły tych czterech dzielnic spajały mury, czyniące czworograną izbę środkową, w któréj ogromny posąg Swantowida, mający cztery twarze ku czterem drzwiom obrócone, stał na wysokiém podnożu, trzymając w prawéj ręce róg wielki z winem, a w lewéj łuk z kołczanem strzał pełnym. W każdym środkowym murze była brama, do któréj otwarta ulica pomiędzy ścianami dzielnic prowadziła. Ta krzyżowata budowla, licznemi stopniami nad poziom uniesiona, była otoczona w tymże kształcie rzędem kolumn, czyniąc w pomienionych ulicach ozdobne ciągi słupów. Prócz tego wewnątrz średniéj izby po przyścianiu okazałe słupy sklepienie utrzymywały. Do koła posągu stół służebny, na którym czynił ofiary kapłan zawsze od téj strony, w któréj się nieprzyjaciel znajdował. Obręb środkowéj izby musiał być dosyć mały, gdyż kapłan dla każdego odetchnienia musiał wychodzić aż do progu izby, by znać nieobrazić śmiertelnym oddechem Boga. W obszerném podwórzu stało sześć wspaniałych kolumn we trzy rzędy poprzecznemi tramami, przez które przeprowadzono świętego konia, dla powzięcia wiadomości o szczęściu lub téż złéj doli ojczyzny.

Roku ery chrześciańskiéj 443., za panowania Arkadyusza i Honoryusza, cesarzów rzymskich, Radogost, król Obotrytów, wtargnął z licznem wojskiem do Włoch, gdzie na przeprawie przez rzekę wśród bitwy w młodym poległ wieku.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)